Należytość pocztowa opłacona gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XV. Październik 1927. Nr. 10.

„Murzynek“ pisemko misyjne, katolickie, ilustrowane dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

SPIS RZECZY: Modlitwa małego Sahalù. — Czcigodny Justyn de Jacobis, pierwszy Wikarjusz apostolski Abisynji (ciąg dalszy). — »Dziecię, daj mi twoje serce!« — Pilne prządki. — Wspomnijmy na Zmarłych (wiersz.) — Termity. — Afryka. Świat roślinny w Afryce (dokończenie). — Łamigłówka i rozwiązanie zagadki.

Ilustracje. Misjonarz z murzynkiem. — Czarne prządki. — Termity.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. — **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Sawicz, 1 m. 4. II. p. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje). — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Bielsko,** Piłsudskiego 7. — **Łódź,** p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów,** p. Fedaszówna, ul. Sadownicka 89, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — Adres Domu głównego: **Rzym** (Roma, (23) via dell' Olmata, 16. **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 3624 West Pine Blvd. **St. Louis, Mo.**

OFIARY NADESŁANE

w miesiącu lipcu 1927 r.

(w złp.)

Na Ligę dzieci: A. Sanetra 20 złp.; Ks. T. Włodyga 9.—; Ks. P. Maik 5.40; I—III klasa szkoły powszechnej w Boguchwale 7.56; Lorencówna 12.—; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 77.27.

Dla dzieci murzyńskich: SS. Felicjanki z Podgórza 20.—; A. Więcław 5.—; Ks. Miezka 15.—; A. Sanetra 10.—; M. Rybińska z loterji urządzonej przez dzieci pp. Moreckich 5.50; M. Kwatrowa 5.—; Mrozówna 5.—; M. Chmielewska 21.52; Ks. St. Jastrzęb-



Nowoochrzczone dzieci murzyńskie w Misji Franceville (Gabun.)

Jak się rozpoczyna praca misyjna we wsi pogańskiej.

Przez O. Garnier, Misjonarza w Kongo.

We wsi murzyńskiej niema ulic i zabudowań murowanych. Ledwie kilka dość od siebie odległych chat, pokrytych trzciną bambusową, wobec jakich nasze chaty zdają się pałacami. Kiedym przybył razu pewnego do takiej pogańskiej wsi, by jej mieszkańcom zwiastować Dobrą Nowinę, Ewangelję św. — wywołaliśmy w niej ogólne poruszenie. Dzieci zerwały się do

20. IX. 27. 16.860.

ucieczki, kobiety znikały pośpiesznie po chatach, zamykając szczelnie drzwi za sobą. Tylko kilku młodych mężczyzn zatrzymało się i oddało mi powitalny ukłon. Zbliżyłem się do nich i rozpocząłem rozmowę w ich ojczystym języku. Wtedy i murzynki zaczęły wyglądać przez uchylone drzwi, przypatrując się z zaciekawieniem mojej długiej brodzie, oraz robiąc głośne uwagi co do mojej osoby: „Nigdy nie widziałyśmy takiego białego człowieka, to chyba nie człowiek, to musi być Bóg".

Pogwarzywszy trochę z murzynami, poszedłem za wieś, do szałasu, co miał mi służyć za czasowe mieszkanie, a gdzie moi towarzysze sporządzili wieczerzę. Naczelnik wsi przysłał nam na wieczerzę kurę i banany. Posiliwszy się nieco, przystąpiłem do nauki katechizmu. Zbiegła się spora gromadka murzynów-pogan, przysłuchując się z uwagą, gdy moim chłopcom zadawałem pytania, a oni na nie dobrze odpowiadali. Głośnemi okrzykami zaznaczali swoje zdumienie. Następnie zmówiliśmy razem pacierz wieczorny, zawsze w obecności zaciekawionych pogan. Nazajutrz bardzo już wcześnie zajrzeli do nas murzyni-poganie, by nam powiedzieć „dzień dobry". Otoczyła szałas gromada, nie spuszczając z nas oka. Zacząłem przygotowania do odprawienia Mszy św. Otworzyłem skrzynkę podręczną i wyjąłem z niej liturgiczne szaty. U wejścia do chaty ustawiłem ołtarz, przymocowałem do słupa krucyfiks. Czarni przyglądali się wszystkiemu w milczeniu, lecz w chwili, gdy ujrzeli złoty kielich i kapłańskie szaty, obszyte złotym galonem, posypały się z ust obecnych okrzyki podziwu: „Co za piękna opaska!" zawołali na widok komeżki. „O, a ten pasek!... To su-

knie dla Boga!... Och, ach, och, ach!"... Po odmówieniu pacierzy wstępnych zażądałem ciszy, nastąpiła natychmiast. Moi chłopcy pouklękali z tyłu za mną na macie, za ministranta miałem małego chrześcijanina z Majumby. Głos jego srebrzysty budził podziw obecnych. „Widzicie, taki mały, mówili, a wszystko tak umie jak dorosły!" A że czarni nie umieją długo zachować milczenia, więc wkrótce znowu wrzało wokół mnie jak w ulu. Szczęściem moi mali towarzysze, odmawiając różaniec, zagłuszali trochę ten szmer rozpraszający skupienie. Powoli przyzwyczaja się misjonarz do tych gwarnych czarnych owieczek i już go nie rozprasza ich zachowanie, również jak i rozlegający się dookoła rozgłośny śpiew ptaków.

Po Mszy św. zawezwałem murzynów do siebie i pokazywałem im duże obrazy święte, którym się przyglądali ciekawie. Wpierw jeszcze uklękłem z chłopcami i w języku miejscowym odmówiliśmy Ojcze nasz i Zdrowaś Marjo. Obecni poganie przysłuchiwali się uważnie. Byli nawet wśród nich tacy, którzy za naszym przykładem zgięli kolana, a raczej usiedli na swych piętach; rzeczywiste bowiem klękanie u nich nieznane. Potem zasiedli na przyniesionych matach — może ze 30 mężczyzn, kobiet i dzieci, a ja rozpocząłem pierwszą naukę.

„Wznieście oczy", rzekłem do nich, wskazując im na niebo. Posłuchali wśród śmiechu. „Popatrzcie na ten obszerny las, na te wszystkie drzewa, rośliny itd. Kto to wszystko zrobił?" Nikt nie odpowiadał. Powtórzyłem pytanie raz jeszcze, drugi, trzeci — nie ustępowałem. Wówczas odezwali się bardziej rozgarnięci: „Jakże możemy o tem wiedzieć, skoro nikt do nas o tem nie mó-

wił". — „A może tyś to uczynił?" — spytałem jednego. Potrząsnął przecząco głową. „O nie, nie było mnie wówczas!" „Jeśli nie ty, więc to chyba twój fetysz?" pytałem dalej. „Nie", brzmiała znowu odpowiedź. Wreszcie wytłumaczyłem im, że zrobił to wszystko Tsambi, czyli Bóg nas miłujący. A kto was i wszystkich ludzi stworzył?" Z pewną dumą odpowiedzieli: „Tsambi". Poczem przeszedłem do głównych prawd naszej Wiary św. Rozwinąłem do pomocy zabrane ze sobą duże obrazy: śmierć dobrego i złego człowieka, sprawiedliwy i grzesznik na Sądzie Ostatecznym, niebo i piekło.

„Czy wy pomrzecie?" zapytałem ich.

„Dlaczego mielibyśmy nie umrzeć! Wszak nasi przodkowie umarli. Oto ich próżne chaty". „Dokąd pójdziecie po śmierci?" — „Pod ziemię", odpowiedzieli z przekonaniem. „To tylko wasze ciało, lecz nie dusza", sprostowałem. Przy tych słowach spojrzeli na siebie wzajemnie, uderzając palcem w czoło, gdzie podług mniemania murzynów, dusza ma swe siedlisko. „To prawda", powtarzali raz po raz. Gdy rozwinąłem duży obraz, przedstawiający dobrą śmierć, wyrwały się okrzyki: „Ach, och, och! O, jak piękny!"... Skrzydła aniołów i rogi djabłów podobały się im nadewszystko. Małe dzieci skakały nawet z radości dokoła matek. Gdy się jako tako uciszyło, począłem ich pouczać jak ten, kto bogów porzuca dla Boga jednego, umiera spokojnie i szczęśliwie. Aniołowie zanoszą jego duszę wysoko do Nieba, gdzie króluje Bóg, którego on znał i któremu służył. „Kto zaś przeciwnie umiera, służąc bożkom zamiast Bogu, tego duszę zabierają szatani do otchłani bezdennej".

Obraz, przedstawiający Sąd Ostateczny, wy-

warł większe jeszcze wrażenie, niż obraz piekła. Kobiety i dzieci poodwracały się z przerażenia; mężczyźni zaś utkwili duże oczy błyszczące w Lucyfera i wrzasnęli tak, że wszyscy obecni zadrżeli. Pouczywszy ich o piekle, począłem z kolei mówić o niebie. Wnet rozległ się dookoła mnie głos radości i ulgi. „Ach, to tu jest szczęście! Tutaj iść chcemy!“

Zapoznawszy w ten przystępny sposób biednych pogan z pierwszemi zasadami św. Wiary, sięgnąłem po krucyfiks i przymocowałem do słupa chaty. Uradowali się niezmiernie tym darem, przyrzekając mi, że będą odtąd modlić się do jednego prawdziwego Boga, będą czcić obraz Syna Bożego, którego dziś poznali.

I dotrzymali słowa; kiedym bowiem wrócił po dwóch tygodniach, znalazłem krucyfiks nienaruszony na tem samem miejscu; uszanowali go.

Czcigodny Justyn de Jacobis

pierwszy Wikarjusz apostolski Abisynji

(Przedruk wzbroniony).

(Ciąg dalszy).

9. Pociechy i smutki.

Zmieniły się tymczasem stosunki w Abisynji. Podczas rocznej przeszło nieobecności misjonarza zasunął się chmurami horyzont polityczny. Przychylny katolicyzmowi książę Ubie traci tron. Nowy zaś biskup koptycki, nieprzejednany wróg Rzymu, obejmuje panowanie nad umysłami i sercami większości mieszkańców. Mimo ostrzeżeń wiernych przyjaciół wraca Ks. de Jacobis do powierzonej mu przez Opatrzność cząstki winnicy Pańskiej, ufny, że wszechmocna ręka

Tego, który obiecał mu być pomocą, rozprószy niebezpieczeństwo, zniweczy zakusy przeciwników. Z zasadzek stawianych nań podczas drogi do Aduy wychodzi cało, w stolicy lud wita owacyjnie drogiego „Abunę Jakóba", jak go pospolicie nazywano. „Godzina jego" jeszcze nie nadeszła. Wolno mu jeszcze cieszyć się błogosławionymi skutkami podróży Abisyńczyków do Wiecznego Miasta. Uczestnicy tej pielgrzymki opowiadają bowiem wszędzie z zapałem o wrażeniach, jakie odnieśli w stolicy katolicyzmu. Niestrudzeni są wprost w unoszeniu się nad świętością, dobrocią, uczonością papieża, zachwycają się poważnym majestatem ceremonij kościelnych w bazylice św. Piotra, stając się w ten sposób apostołami katolickiej wiary. Kapłańskie serce Ks. de Jacobis śpiewa gorące „Magnificat" wobec mnożących się z dnia na dzień nawróceń. Uderzony i przekonany cnotami męża Bożego, wraca na łono prawdziwego Kościoła uczony przyrodnik — protestant — Schimpfer, rodem z Wirtembergji, osiadły w Abisynji w celach naukowych. Nie opiera się łasce Bożej wyznawczyni Proroka, księżniczka krwi Agar Rut. Uczony mnich abisyński, Ghebra Michał, wyrzeka się herezji monofizyckiej.

Na widok takich plonów zgrzytają zębami przeciwnicy, pieni się „Abuna Salama", biskup heretycki i postanawia nie zwlekać dłużej, lecz wypowiedzieć „obcym przybyszom" otwartą wojnę. Niespokojne czasy, ustawiczne zamieszki polityczne, częste zmiany panujących, sprzyjają niegodnym zamiarom.

To też obawa o przyszłość nie opuszcza naszego misjonarza. Stara się mnożyć na gwałt środowiska katolickie, by, kiedy wybuchnie bu-

rza, Misja — rozciągająca się szeroko po kraju — nie tak łatwo mogła zostać zgładzoną doszczętnie. Lata 1843, 44 i 45 są więc latami licznych fundacyj, zawdzięczających byt swój temu, który w pokorze swej zwykł był mawiać o sobie: „nie jestem zdatny do niczego". Najważniejszem to założenie seminarjum duchownego w Guali, gdzie wnet rozkwita praca nad wychowaniem młodego pokolenia, nad kształtowaniem głów i serc abisyńskich kapłanów. Seminarjum to oddał Ks. de Jacobis pod opiekę Niepokalanej Dziewicy w tem przekonaniu, że ramię Jej zachowa je od zagłady. Okoliczna dziatwa napływa do szkoły, otwartej przy seminarjum; nawracają się jednostki, rodziny, ba nieraz i całe szczepy, jak ubogi pasterski szczep Irobów, który niestrudzony apostoł ewangelizuje sam z nieprzebraną cierpliwością przez sześć miesięcy.

Oto co o nich pisze: „Sądząc z powierzchowności — te moje nowe dzieci duchowne przypominają raczej dzikich Nowego Świata niż ludzi cywilizowanych, możnaby ich nawet przyrównać śmiało do bajkowych faunów lub satyrów. Oko wiary jednak, które umie wznieść się ponad płytkie sądy tego świata, widzi w nich przyrodnich braci Jezusa Chrystusa, współdziedziców Jego Królestwa. To też powołanie mnie do wprowadzenia Irobów na drogę do nieba droższe mi jest niż wszelkie honory".

Irobi przyjmują bardzo gościnnie Ks. de Jacobis po ubogich szałasach. W ich wnętrzu, z nogami skrzyżowanemi po turecku miewa misjonarz swoje wykłady katechizmowe, opędzając się nieustanie, za przykładem słuchaczy, tysiącznemi ruchy od natrętnych owadów. Wykład kończy się zazwyczaj odmówieniem różań-

ca, aktów wiary, nadziei i miłości, poczem następuje wspólny posiłek. Nawrócenie Irobów jest szybkie i trwałe. Przywiązanie nowych owieczek do czułego pasterza szczere i prawdziwe. Najlepszym zaś dowodem to wierne trwanie przy nim w czasie prześladowania, chronienie przed zbirami nastającymi na życie misjonarza.

10. Spotkanie dwóch Apostołów.

Główną troską Ks. de Jacobis jest maleńka liczba pracowników w abisyńskiej winnicy Pańskiej. W seminarjum w Guali nie brak wprawdzie młodzieńców zacnych, zasługujących na święcenia kapłańskie, ale gdzież biskup, który ich przyoblecze godnością sług Ołtarza? Pisze więc do Rzymu do św. Kongregacji Propagandy, prosząc gorąco o zaradzenie złemu. Mijają miesiące, kłopoty duszpasterza rosną, a odpowiedzi jak niema tak niema. Aż tu pewnego dnia po Mszy św. odprawionej w Guali, po dziękczynieniu przeciągniętem znacznie ponad zwykłą miarę, wychodzi „Abuna Jakób“ z zakrystji rozpromieniony cały nieziemskim jakimś uśmiechem, śpieszy do grona alumnów, a zwracając się do dwóch kleryków, powiada: „Idźcie, dzieci moje, dziś jeszcze do Massauy i nie lękajcie się niczego; ujrzycie prędko tego, którego wyczekujemy wszyscy z utęsknieniem“. Pełni ufności wyruszają młodzieńcy w drogę, przybywają do Massauy, a po trzech dniach oczekiwania staje w porcie statek z Europy przywożący etjopskiej ziemi biskupa, wyniesionego później do kardynalskiej purpury zakonnika Kapucyna, Wilhelma Massaię.

Cóż go tutaj sprowadza? Cóżby jak nie Opatrzność Boża, za której zrządzeniem w tym wła-

śnie czasie św. Kongregacja Propagandy odłączyła z Górnej Etjopji, ze względu na jej rozległość t. zw. Kraj Gallasów, utworzyła z niego osobny wikarjat apostolski, oddając go pod opiekę misjonarzy z zakonu Kapucynów! Trudno opisać zdumienie wysiadającego na ląd biskupa, na widok dwóch abisyńskich seminarzystów, oczekujących jego „niezapowiedzianego" przybycia. Opowiadanie młodzieńców wzrusza go głęboko. Śpieszno mu też poznać człowieka, o którego cnotach i świętości niebo samo świadczy tak wyraźnie. Nie czeka długo. Ks. de Jakobis wyszedł już bowiem na spotkanie wysłannika Stolicy Apostolskiej. Oto staje przed Biskupem Massaią, staje jako uosobienie pokory, tej cnoty ponad inne mu drogiej! Niewielka, niepozorna postać, otulona ubogim białym płaszczem na wzór duchownych abisyńskich, — przypada do kolan przybyłego, całując mu ze czcią wielką nogi. Starającemu się przeszkodzić takiemu powitaniu biskupowi, tłumaczy błagalnie: „Pozwólcie, pozwólcie; myśmy czekali tak długo, z taką tęsknotą! Od trzech wieków stopa katolickiego biskupa nie dotknęła tej biednej ziemi, którą, zdało się już, że Pan Bóg opuścił. Dziś wybiła dla niej godzina miłosierdzia".

Seminarjum w Guali obchodzi uroczystość święceń. „Jakżeż pięknym — pisze Ks. de Jacobis — był widok tych szesnastu wybrańców Bożych, pełnych pobożności i skupienia; jaka radość niebiańska malowała się na ich czarnych obliczach! Obrazu tego na ciemnem tle barbarzyńskiego kraju nie zapomnę nigdy".

Któż przypuszczał wtedy, że już w wigilję Niepokalanego Poczęcia banda rozszalałego motłochu — w kraju srożyła się anarchja — otoczy

ten cichy przybytek świętej nauki, wystawiony z takim trudem i zrówna go z ziemią?! Szczęściem jeszcze, że ostrzeżeni wczas mieszkańcy, zabrać mogli przedtem co najgłówniejsze i ukryć się w górach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Budowanie łodzi zwanej pirogą.

(Przez Misjonarza w Afryce ze Zgrom. OO. Białych).

Mieszkańcy wybrzeży jezior afrykańskich są przeważnie zręcznymi rybakami. Puszczają się na wodę w tak zwanych pirogach, łodziach drążonych w pniu drzewa. Łodzie te są różnych rozmiarów: od najmniejszych na 3 metry długich, a 20 centymetrów szerokich, któremi murzyn kieruje w postawie stojącej, do największych o 12 metrach długości, a dwóch metrach wysokości i szerokości z jednego pnia drzewa-olbrzyma. Niektóre plemiona uprawiają budowę piróg jako rzemiosło. Po materjał potrzebny, po owe pnie kolosalne, muszą krajowcy wędrować daleko, drzewa takie rosną bowiem jedynie wysoko w górach, w miejscach niedostępnych dla pożarów, które rok rocznie nawiedzają suche niżej rosnące zarośla. Średnica tych drzew wynosi od 4 do 5 metrów. Ich pień, niby kolumna wysmukła, wystrzela wysoko, nieraz aż do 50 metrów, rozpościerając swe konary nad zieloną kopułą lasów, kąpiąc wierzchołek w słonecznym blasku.

Do obalenia upatrzonych drzew używają drwale murzyńscy ognia. Następnie oznaczają miejsce, w którem należy naciąć pień. 20 lub 30 ludzi zabiera się jednocześnie do wyżłobienia

potwornej bryły, nie posiadając innego narzędzia nad toporek z ostrzem na dwa palce szerokim.



Dzieci misyjne w pirogach.

Pracują bardzo gorliwie, ale bez pośpiechu, nieraz długo, w razie potrzeby od 3 do 4 miesięcy; murzyn bowiem z czasem się nie liczy, — nie ceni go tak, jak go się zwykło cenić w Europie lub w Ameryce.

Wykończoną pirogę trzeba spuścić na wodę, co nie jest pracą łatwą. Około stu ludzi zaprzęga się zapomocą długich lin do gotowej łodzi i ciągnie ją w kierunku jeziora, wyszukując przytem starannie łagodne zbocza, omijając skały, drogę zagradzające, unikając przepaści, by piroga, owoc tylu zabiegów, nie doznała uszkodzeń lub nie rozsypała się na szczątki w razie runięcia do urwiska. Liczbie ciągnących naprzód, odpowiada równa liczba murzynów przytrzymująca pirogę z tyłu, zapomocą lin, by w ten sposób statek olbrzym posuwał się w umiarkowanem tempie.

Wreszcie po dwóch lub trzech dniach takiej wędrówki mozolnej przebywa piroga przestrzeń dzielącą ją od jeziora i oto już się kołysze łagodnie na spokojnych wodach, w oczekiwaniu kupca-nabywcy.

Ochrzczony przez dziewięcioletnią murzynkę.

Przez O. Fages, Oblata św. Franciszka Salezego, misjonarza nad Rzeką Pomarańczową.

Jak cudowne nieraz działanie łaski Bożej w duszach; nie stają mu na przeszkodzie — wbrew ludzkim przewidywaniom — ani małoletność, ani nieuczoność!

Jedna z naszych małych sierotek, lat mniejwięcej dziewięciu, pojechała na wakacje do matki, również chrześcijanki, pracującej w protestanckiej boerskiej osadzie. Podczas pobytu dziewczynki tamże, zachorował ciężko maleńki synek właściciela fermy, niemowlę, nie ochrzczone jeszcze przez pastora. Zrozpaczony ojciec, zatrwożony przedewszystkiem o duszę dziecka, nie wiedział co robić. Nasza mała murzynka je-

dnak nie straciła głowy. Bez wahania rzekła śmiało: „Ja wiem wszystko co trzeba uczynić. Jeśli Pan pozwoli, ochrzczę małego i będzie zbawiony“. — „Dobrze, dobrze, zrób to czemprędzej“, odpowiedział ojciec. Biegnie więc dziewczynka co tchu do chaty matczynej, bierze butelkę wody święconej, przyniesionej ze stacji misyjnej i śpieszy ochrzcić umierającą dziecinę.

Tegoż dnia jeszcze zabrała śmierć maleństwo; poszło — dzięki sierotce murzyńskiej — powiększyć grono aniołków w niebie, szczęśliwe na całą wieczność!

Wypytałem potem dziewczynkę o wszystko i przekonałem się z radością, że nie zaniedbała niczego, udzieliła dobrze Sakramentu Odrodzenia.

Zdarzenia jak to pocieszają, dodają otuchy; są dowodem oczywistym, że nieskończenie dobry Bóg uzupełnia łaską Swą i światłem to, na czem nieraz zdaje się zbywać naszej biednej nieuczonej murzyńskiej dziatwie...

Afryka.

(Ciąg dalszy).

Świat roślinny w Afryce.

Abisynja, będąc krainą górzystą, posiada roślinność bardzo różnorodną, bo właściwą tak pasom gorącym jak i umiarkowanym.

Najniżej w dolinach spotykasz rośliny podzwrotnikowe, a więc palmy; nad nią wznosi się pas niw złocistych i zielonych soczystych błoni; jeszcze wyżej rosną jasno-zielone południowe lasy, a dalej jeszcze ponure gęstwiny szpilkowych lasów — czyli borów.

Wioski toną w cieniu wysokich sykomorów i oliwek, albo też są otoczone sadami morelowemi i brzoskwiniowemi.

W pasie, leżącym pomiędzy dwoma i pół, a czterema kilometrami wysokości, spotykamy rozległe hale, czyli łąki górskie, dostarczające doskonałego karmu dla bydła rogatego. Drzew już tam się nie widzi.

Dolina rzeki Zambezi odznacza się także bardzo bujną roślinnością. Przy ujściu tej rzeki rozciągają się niezmierne bagna, zarosłe drzewami mangrowiowemi, których korzenie sterczą ponad powierzchnią, nadając lasom dziwaczny wygląd. Wyżej nad doliną rosną drzewa, zwane pandanusami, wysokie niby wieże kościelne — i cytryny. Jeszcze wyżej rozciągają się jak oko sięgnie równiny niezmiernie żyzne, porosłe wysokiemi i soczystemi trawami. Wioski murzyńskie stoją wpośród bananów, rozwiewających swe szerokie i długie liście — i wśród smukłych palm kokosowych, strojnych w korony pierzastych, na kilka łokci długich liści. W ogrodach uprawiają mieszkańcy, prócz pospolitych i nam znanych jarzyn, także trzcinę cukrową i bawełnę. Tak się przedstawia roślinność w Abisynji.

Każdy kawałek wolnej przestrzeni jest tam przez naturę zużytkowany. Ostre trawy, kaleczące nagie ciało murzyna, kolczaste krzewy zastępują drogę wędrowcowi, który chcąc posuwać się w tym gąszczu, musi uciekać się do pomocy topora.

W puszczy rośnie mnóstwo wielce cenionych drzew hebanowych, kauczukowych, tamaryndowych i innych.

Ma się rozumieć, że wielka puszcza środkowo afrykańska jest zamieszkała nietylko przez plemiona dzikich murzynów, między któremi znajdują się karły i ludożercy, ale i przez zwierzęta, poczynając od małp potężnych, a kończąc na niezliczonych rojach owadów, niemiłosiernie dokuczających człowiekowi, który musi zapuszczać się w te czeluści. Śmierć czyha tam na każdym kroku w postaci jadowitych wężów, zatrutych strzał murzyńskich i wyziewów febrycznych.

Trzeba niezłomnej energji, takiej, jaką posiadał Stanley, żeby nie cofnąć się przed nawałem przeszkód.

W Sudanie, cokolwiek na północ od tej olbrzymiej puszczy i gdzieindziej, także napotykamy szczególniejsze lasy, tworzące w dolinach rzek wązkie smugi. Z daleka wygląda las podobny jak nieprzeni-

kliwa ściana; skoro jednak wejdziemy do wnętrza, zdaje się nam, że znajdujemy się w olbrzymiej, ciągnącej się wzdłuż izbie, gdzie zamiast sklepienia mamy nad głową łączące się razem korony drzew. Miejscami dach jest tak gruby i gęsty, że noc istna pod nim panuje.

Olbrzymie pnącze, niby liny zielone, ozdobione kielichami rożnobarwnych kwiatów i gronami nieznanych jagód, zwieszają się do ziemi. Na starych konarach rosną pasorzytnicze storczyki, zadziwiające niepospolitością kwiecia. Zgiełk ptactwa przepełnia tę naturalną cieplarnię, w której uczucie znużenia i duszności opanowuje nieprzyzwyczajonego Europejczka. Rośliny jednak czują się właśnie najlepiej w takiej wilgotnej i gorącej atmosferze.

W Afryce Środkowej rosną dziko obficie banany, dające owoce podobne do ogórków i doskonale zastępujące kartofle, albo chleb. Murzyni zaś uprawiają pilnie dwa gatunki prosa, zwane dura i sorgo, z którego przyrządzają mocne i smaczne piwo — prócz tego tykwy, dynie, pomarańcze, cytryny i gojawy. Wschodnia połowa Afryki podrównikowej jest bardziej sucha — ale zachodnia, zniżająca się ku powierzchni oceanu i nie zasłonięta tak wysokiemi górami jak wschodnia, a więc otrzymująca wilgotne wiatry zachodnie, jest pokryta olbrzymią, na kilka tysięcy wiorst ciągnącą się puszczą pierwotną. Przez tę puszczę, jedną z największych na świecie, musiał przedzierać się wpośród nieopisanych trudów i niebezpieczeństw wyżej wspomniany, Stanley, który jak wiemy, przebył wpoprzek ląd afrykański.

Kto nigdy nie był w takiej dziewiczej puszczy, ten z trudnością może sobie wyobrazić jej wnętrze. Przedewszystkiem uderza mrok głęboki, panujący pod gęstwiną nieprzenikliwą dla promieni słonecznych. Wszystkie drzewa, małe i duże, pną się coraz wyżej i wyżej do światła. Pomiędzy roślinami wre walka uparta o życie. Korony drzew tworzą sklepienie tak gęste, że nawet ulewne deszcze podrównikowe nie odrazu mogą się przez nie przedrzeć do wilgotnego gruntu, gdzie znów rośnie mnóstwo krzewów wszelkiego rodzaju; pnącze oplatają pnie większych drzew.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKA SYLABOWA.

Ułożył Jan Gara.

Z niżej przytoczonych sylab wstawić w miejsce kropek wyrazy, tak, żeby początkowe litery, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko słynnego polskiego powieściopisarza.

1	1 Miara,
2	2 część świata,
3 . . .	3 rzeka w Afryce,
4	4 pieniądz,
5 .	5 samogłoska,
6	6 łańcuch gór w Polsce,
7	7 król polski,
8	8 imię żeńskie,
9	9 kraj w Afryce,
10	10 część ciała ludzkiego,
11	11 odkrywca Ameryki,
12	12 przedmiot krawiecki,
13	13 imię męskie,
14	14 miasto w Polsce,
15 .	15 samogłoska,
16	16 gatunek drzewa,
17	17 szlachetny kruszec.

Sylaby:

y, e, ko, ła, ru, pa, ga na, e, war, rys, to, no, lumb, so, bel, hek, ro, re, mil, eu, nil, ty, bies, gipt, ig, sza, cyp, zło, i, pa, wa, kar, i, tar.

(Rozwiązanie w następnym numerze.)

Rozwiązanie logogryfu z Nr. 8.

1. Wanda,
2. Alpy,
3. Kora,
4. Afryka, WAKACJE.
5. Cytra,
6. Jaskółka,
7. Ewangielja.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki".

15 października w dzień św. Teresy;
28 października w dzień ŚŚ. Szymona i Judy Apost.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie.
pod zarządem Leopolda Wójcika.

Rogowskie (4 i 6 lat) zebrane 5.—; Gawrońska 10.—; M. Böhniówna 7.—; H. Zawadzka 5.—; J. Lupa 10.—; M. Palkiszówna 5.—; O. Chmielakowa i Wiśniowska 5.20; Szkoła św. Mikołaja w K. 5.—; SS. Felicjanki z Białej 10.—; Urbańska 5.—; J. Saternus ze skarbonki 6.—; SS. Urszulanki w Krakowie 5.—; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 48.34.

Zbiorowe ofiary z Ciężkowic: Płatki różane św. Teresy od Dzieciątka Jezus złp. 20.60 i na Katechizmy dla murzynków złp. 5.50. Z listy ofiar p. Kozłowskiej złp. 2.20.

Krucjata Eucharystyczna chłopców z Domu Sierót SS. Urszulanek K. S. J. w Otorowie ofiaruje 5.70 zł. na Misje w Afryce.

Sodalicja Dzieci Marji przy Zakładzie SS. Urszulanek K. S. J. w Otorowie — dla małych murzynków uszyła bardzo ładnie 8 sukienek kolorowych.

Powołanie Misjonarki-pomocnicy.

Młode osoby, któreby pragnęły oddać się służbie misyj katolickich, by współpracować w rozszerzaniu Królestwa Bożego na ziemi, mogą to pragnienie zaspokoić, jednocząc się w pracy z Sodalicją św. Piotra Klawera. Jako **Misjonarki-pomocnice** mogą pracować dla Misjonarzy i Misjonarek w Afryce i przyczynić się w ten sposób do nawrócenia wielu dusz, do którychby bez tej pomocy nie dotarł nigdy żaden Misjonarz. — Więcej powie Wam książeczka **„Powołanie Misjonarki-pomocnicy dla Afryki“.** Prośby o przyjęcie należy zwracać do Generalnej Kierowniczki w Rzymie, Roma (23), via dell'Olmata 16.

Mała „Misjonarka-pomocnica“.

Zachęcone słowami Księdza katechety, zabrały się dzieci szkoły powszechnej w O. K. do pilnego zbierania papieru srebrnego i znaczków pocztowych, na misje. Najgorliwszą okazała się Zosia C., zebrała aż przeszło 7 tysięcy znaczków. Małej „Misjonarce-pomocnicy“ śle „Murzynek“ serdeczne „Bóg zapłać!“ z życzeniem, by nie ustawała w świętej pracy około zbawienia dusz.



Co za śliczny różaniec!... Ale jaka szkoda,
Jeden tylko... Kto nam też więcej takich poda?
Dla mnie jeden, a potem: dla taty, dla mamy;
Stokrotne Wam „Bóg zapłać!" już naprzód składamy.

Sodalicja św. Piotra Klawera przyjmuje z wdzięcznością ofiary w różańcach, by je następnie przesłać misjom afrykańskim, gdzie są zawsze bardzo pożądane. Szczególnie lubią murzyni różańce trwałe, duże, które mogą wkładać na szyję, gdyż, jak wiecie, murzyni nie posiadają kieszeni Adresy Sodalicji św. Piotra Klawera podane są na drugiej stronie okładki.

DO WSZYSTKICH!

Przyczyniajmy się wszyscy do szerzenia prasy misyjnej wśród naszych rodaków przez popieranie i rozpowszechnianie wydawnictw, mających na celu zaznajamianie ogółu z rowojem i potrzebami misyj katolickich. Do takich wydawnictw należy

„Kalendarzyk Misyjny dla Dzieci i Młodzieży"
na rok 1928 (cena 15 gr.) przesyłka osobno

„Kalendarz św. Piotra Klawera"
na rok 1928 (cena 80 gr.) przesyłka osobno

Do nabycia w filjach i biurach Sodalicji świętego Piotra Klawera pod adresami umieszczonemi na drugiej stronię okładki.

Opłaty można uiszczać za pomocą Pocztowej Kasy Oszczędności.